Rozmaitości

Dnia 23. Marca — Nr 12. — 1837 Roku.

TEGOCZESNA BABUNIA.

POWIASTKA.

Miej serce, i patrzaj w serce.
Romantyczność.

I.

Za dawnych czasów w tym wyrazie *Babka* wyobraźnia nasza malowała kobiétę podeszłą, poważną, — czasami zrzędną, czasami nazbyt pieszczącą, — lecz zawsze w ogromnym czépku, w staroświeckiém krześle niedaleko kominka, z okularami, które jeżeli nie na nosie, to w gockiéj spoczywały książce — a najczęściéj opowiadającą stare dzieje z pierwszych lat Stanisława Augusta: o powietrzu morowém, i o szarańczy.

Dzisiaj!... o dzisiaj — wszystko inaczéj.

Dzisiaj babunia jest to istota do określenia trudna; ziemnowodne stworzenie, stojące na granicy dwóch wieków, zrywające kwiaty z kraju, który opuszcza, aby niemi ubarwić kraj, do którego przechodzi.

Dzisiaj babunia jest sobie kobiétą, która nie tańczy, tylko poloneza, która miasto kwiatków wplecionych we włosy, nosi je na kapeluszu, lub czépku; lecz któréj myśli nie cierpią innéj odmiany, prócz w stroju na głowie.

Niegdyś babunia bywała samowładną panią domu; karciła pustoty małych wnuczków, wskazywała im drogę moralności i cnoty; słowem rządy jéj podobne były do pastuszego kija, który choć czasem uderzy, częściéj jednakże broni od szkody.

Dzisiaj ... jest niby to samo, tylko że serce przeszło na prawą stronę, jak pewien dowcipniś powiedział.

II.

Pani kasztelanowa P.... była wzorem babuń dziewiętnastego wieku i najcharakterystyczniejszym portretem *młodéj staruszki.* U niéjto nieśmiertelna młodość wcale niebyła urojeniem, ani śmieszności. Czy to natura lepiéj się z nią obchodziła, niż z drugiémi, czy sztuka lepiéj dla niéj kłamała, niż dla innych kobiét?... tego niewiém; to tylko pewna, że Pani kasztelanowa tak zapodziała rachubę lat swoich, że jeżeli która z jéj rówienniczek zazdrośnych, zapuszczając się w przeszłość ze spomnienia do spomnienia, z epoki do epoki, wyrachowała jéj lat pięćdziesiąt, wszyscy w żywe oczy kłamstwo jéj zadali.

— Pięćdziesiąt lat! czy podobna!...

— Ależ jéj wnuczka! ależ jéj wnuczka!... przecież Amelka ma lat czternaście, chociaż jeszcze lalkami się bawi, i ubiera się jak dziecko....

Nikt tym dowodom, choć jasnym, niedawał wiary. Zgoła, czy Pani kasztelanowa miała, lub nie, lat pięćdziesiąt, nic nie mogło zdradzić téj tajemnicy, nic! — prócz niestety! jednéj Amelki, która na nieszczęście z każdym dniem rosła! prócz téj Amelki, która jak żyjąca metryka, zadawała kłamstwo oczom wszystkich jéj czcicielów! Och! czemuż nie może oddalić jéj gdzieś za światy, wyprzeć się, zapomnieć, że miała jaką wnuczkę, jaką Amelkę! —

Niebyło sposobów najzawilszych, najromantyczniejszych, nad któremiby nieprzemyśliwała czynna głowa kasztelanowéj. Wyprawić ją na wieś, zaniedbać wychowanie, — niemałym podlegało trudnościom, cóżby na to powiedziały złośliwe języki? — Zmusić do przy-

jęcia ślubów zakonnych — Amelka nie miała powołania — a zmuszać broniłyby władze, i sąd świata by ją potępił: Sąd świata, przed którym drżała jedynie, bo zdanie świata było sumieniem kasztelanowéj.

Próżne rachuby! — niemogąc się pozbyć Amelki, cóż pozostało kasztelanowéj, jeśli nie najdłużéj przeciągać jéj dzieciństwo, skazać ją na wieczną zabawę z lalkami, i na pokuty za złe stąpienie, lub ukłon; a kiedy czasem w dziecku odezwało się czucie młodéj dziewczyny, kiedy promień duszy i rozumu zapowiadał blizką wiosnę wschodzącą dla niéj.... och! wtedy zrywała się burza mroźna i groźna, aby zniszczyć ten rozwijający się kwiatek.

III.

Pewnego wieczora — a był to feralny wieczór dla kasztelanowéj, ciotka jéj stolnikowa bracławska, staruszka siedemdziesięcioletnia, która na perswazyę swéj siostrzenicy wyrzekła się wszystkich przymiotów starości — i nawet pokryjomu zażywała tabaczkę, rozgadawszy się niechcący (co miała także surowo zakazane) o dobrych starych czasach, natrąciła coś o dworskim balu z pierwszych lat panowania Stanisława Augusta. Piérwszy ten wypadek, przejął śmiertelną dreszczą kasztelanowę, lecz drugi, kiedy Amelka weszła niewołana, nim jeszcze goście wizytowi opuścili salony, jak sztyletem przebił jéj serce.

Traiczne to dwa wypadki! Z piérwszego zręcznie wywinęła się kasztelanowa, śmiejąc się z całéj duszy z krótkiéj pamięci swéj ciotki, i dodając, że wtedy ledwo umiała chodzić.

Lecz Amelka! Amelka!

Co za zgroza! jeden z czcicielów kasztelanowéj, czyż nie zrobił uwagi, że niebieskie oko dziéwczęcia nabiéra wyrazu! a drugi, że kibić jéj wychodzi z dziecinnéj niezgrabności.

Kasztelanowa zadrżała na tę myśl, że Amelka od téj chwili nie już ofiary z cukierków, lecz inne hołdy odbiérać zacznie.

Nigdy żaden wódz, na dzień przed wydaniem bitwy nieprzyjacielowi, który ma i lepsze stanowisko, i świeższe siły, nieprzepędził gorszéj, mozolniejszéj nocy, jak nasza kasztelanowa.

Trzeba się pozbyć Amelki — o trzeba! — gdzież sposoby? Myśl jéj skakała z jednego celu w drugi, wracała, wirowała, topiła się i nic nie mogła wydostać.

Cóż począć? Cóż począć?!....

IV.

Wydać ją za mąż!... wykrzyknęła kasztelanowa, jak drugi Archimedes — i nagle przejrzała w przyszłość.

Brawo! wydać ją za mąż! wydać na kraj świata; a od dziś za pół roku, nikt ani pamiętać będzie, czym kiedy miała jaką wnuczkę.

Tu nastąpiła chwila dumania.— Kasztelanowa myślała o pewnéj staréj znajomości, niegdyś na dworze Stanisława Augusta, dziś żyjącéj w zakątku Polésia.

Zadzwoniła prędko i niecierpliwie:

—»Zofio! Zofio! papiéru i pióra."

Oto treść listu:

»Ufając w dawną zażyłość i przyjaźń two»ję szambelanie, spodziéwam się, że mi nie»odmówisz pewnéj usługi: Wnuczka moja »nie tak jest bogatą, aby mogła dobry los zro»bić w Warszawie. Czy też przypadkiem nie »wiész jakiego sąsiada, któryby się zdał dla »niéj na męża? młody czy stary, przystojny »czy szpetny, zabawny czy nudny, to rzecz »obojętna: Amelka aż nadto wiele ma zdro»wego rozsądku i t. d."—

W parę tygodni była odpowiedź; — oto treść odpowiedzi:

»Siostrzeniec mój, Lubomir, w téj chwili »wyjeżdza do Warszawy: nie jest to wcale »zła partyja, chłopiec przyzwoity, i jak na »wieśniaka niezgorzéj umie się znaleźć w kom»panii. O zamiarach naszych nic mu niespo»mniałem; nie lubi jeszcze, aby mu gadać »o stanie małżeńskim; lecz tobie Pani i Amel»ce powierzając nawrócenie wietrznika, pe»wny jestem najlepszego skutku, i już na»przód gniazdeczko dla nowożeńców przy»gotować każę.— Jak tylko podagra na chwi»lę mi pofolguje, natychmiast za moim sio»strzeńcem pospieszę."...—

Wybornie! Wybornie! Amelka może być szczęśliwą! Niechcący, i tak dobrze się stało! A chociaż panicz nie wiele ma pociągu do małżeństwa, przecież spodziéwam się, że żyjąc na parafii, nieobejdzie się bez żony;— z kimżeby miał nudy podzielać? któżby gości bawił za niego? Nawróci się — nawróci! jeśli nie z miłości, to z potrzeby! —

— Zofio! Zofio! zawołać Amelki.—

V.

—»Dziécię moje"— rzekła kasztelanowa, głaszcząc bladą i wyschłą ręką, pełne i rumiane jagody swéj wnuczki, zdziwionéj niepomału tą macierzyńską pieszczotą: »Siądź dziécię moje— pogadamy. Amelko, pomnij żeś już nie dzieckiem, lecz kobiétą; — potrzeba brać rzeczy na rozum."

Amelka niepojmując do czego to zmierza, wypatrzyła się na nią wielkiemi oczyma. Jakże dziwnie brzmiało w jéj uszach: tyś już kobiétą! W snach swoich widziała się nieraz czarodziejką, ptaszkiem, kwiatkiem, swobodną tak, jak inne dziéwczęta, co mają matki pieszczące, ale kobiétą— nigdy! — Drżąca, pomięszana, słuchała dalej słów babki.

—»Amelko, ułożyłam sobie wydać cię za mąż. Pan Lubomir...."

Amelka krzyknęła z przestrachu: »Mnie za mąż!— mnie za mąż!.., o Boże!"

Nigdy myśl o mężu niepostała jeszcze w jéj sercu. Nieraz w marzeniach swoich wzdychała za suknią balową, za skocznym mazurkiem, za teatrem, ale za mężem— nigdy!—

Dziecko o samych marzące zabawach, nieznało, że jest inne jakie szczęście na świecie;— a czyż to niedosyć w jéj wieku, aby tém zapełnić nietylko głowę, ale i całe serce?— I lepiéj— bo kto wié, czy inna jaka myśl głębsza, jakie mocniejsze wzruszenie, nie zniszczyłoby téj wątłéj, słabéj latorośli!

Z resztą Amelka niewyobrażała sobie tego przyszłego małżonka tylko pod przeobrażoną postacią babuni. Nigdy też upior niebył straszniéjszy w oczach łatwowiernego dziecięcia, jak ów mąż w oczach Amelki.

Po zapadłym wyroku biedne dziéwczę, złożywszy ręce, ze łzami w oczach, wzywało miłosierdzia, przebaczenia, ale tylko w głębi serca, bo kasztelanowa taką wszczepiła jéj grozę, że słowa, któremi zadrgały jéj usta, brzmiały raczéj jak wyznanie posłuszeństwa, nie zaś oporu. Przynajmniéj kasztelanowa niechciała inaczéj rozumiéć odpowiedzi Amelki.— Uśmiechnąwszy się z zadowoleniem, kazała jéj odejść— i pozwoliła przybrać ton panienki na wydaniu. Ta jedna wolność, jakąż ulgę przyniosła cierpieniom Amelki!

VI.

Tego dnia, kiedy Lubomir po raz piérwszy pojawił się na salonie kasztelanowéj, liczne zebrało się u niéj grono, i to osób trzymających réj w tonie i modzie. Towarzystwo to zupełnie obce dla nowoprzybyłego, a jeszcze z prowincyi, wykwintne w słowach, ruszające się podług surowych prawideł, przesycone, a jednak łaknące nowości, grzeczne, a złośliwo-dowcipne, ostrzyło już sobie ząbki, że się tak po gminnemu wyrażę, na biednego parafijanina, który jak wiejski wróbel miał się dostać do klatki świetnopiórych zamorskich ptaków. Ileż go tam czekało przycinków, żarcików! jak obficie dostarczyć miał wody na młynki salonów!—

Kiedy pokojowiec zapowiedział imię jego nieznane w stolicy, a przynajmniéj zapomniane od dawna, głuchy szmer rozległ się po sali, pół ciekawy, pół nieprzyjazny, i wszystkie spojrzenia obróciły się ku drzwiom z taką żądzą przedrwinek, z taką szyderczą pogardą, że każdy parafijanin, nie z takiéj mąki jak Lubomir, byłby od progu się wrócił, i jak przyjechał, odjechał na swoje Polésie.

Lecz w jednem oka mgnieniu wszystkie twarze odmieniły przybrany wyraz; mężczyzna który wszedł, od razu połamał szyki nieprzyjacielskie, i zadrwił z wszystkich ukartowanych dowcipów. Naprożno bystre oczy starych salonowców, śledziły każdy ruch jego, każde stąpienie, naprożno ważyli, przymierzali, każde słówko— nie było w nim ani śladu parafijanina z Polésia!—

O zawiedziona nadziejo! Jakimże cudem młodzieniec ten, wychowany gdzieś na drugim końcu świata, odgadł tak dobrze Warszawę? Gdzie nabył téj okrasy w zachowaniu się, gdzie dobrego tonu? Jakim sposobem umié pogodzić niewymuszoną grzeczność, z poufną śmiałością; dwie skały, którebym nazwał Charybdą i Scyllą młodzieży przybyłéj z prowincyi. Przez jakież losów zrządzenie nienasiąkł rubasznością wiejską pędząc życie to na hucznych kulikach i hulankach, to na polowaniach, przy kartach i szklance?—

Wszyscy, jak wszyscy, ale kasztelanowa traciła głowę. Jakże ten Lubomir niepodobny do owego Lubomira, którego w myśli swojéj przeznaczała za męża Amelce!— To też, zaledwie wzrok jéj badawczy zmierzył go od czuba zawiniętego podług najświeższéj

mody, aż do końca bóta z przyciętym nosem, zaledwie z powierzchownych znamion odgadła, do jakiego rzędu ten ptaszek należy, zaledwie kilka słów wymówił czystym akcentem francuzkim, natychmiast kasztelanowa uczuła, że cały jéj zamek runął jak na lodzie, i rzekła do siebie po cichu:

»O, nie będziesz ty mężem Amelki!."

Co do Amelki, któż może odgadnąć, jakie w niéj myśli, jakie obudziły się uczucia: kiedy łysnęła nań przelotném spojrzeniem, które wnet pod długą ukryło się rzęsą. Byłaż to dawniejsza bojaźń? byłoż to co innego? Trudno odgadnąć, bo któż kiedy dostrzegł w sercu młodej dziewczyny ten kraj świeżo stworzony, gdzie dzień jeszcze niebłysnął, gdzie oko badacza błądzi po ciemku, oszukiwane raczéj, niż prowadzone niepewném światełkiem?—

A ze wszystkich serc dziéwczęcych, w sercu Amelki, najtrudniéj może było czytać; tak dalece ciągłe przeciwności, w których wzrosła, i zabijająca oziębłość kasztelanowéj, każdą jéj myśl chcącą się objawić, gwałtem do głębi wtłaczały. Może w téj walce czucie jéj stało się głębsze, może dusza w ustawnym ucisku nabrała mocy, odpornéj stałości; ale za to cała świéżość pomysłów, uczuć i uniesień na zawsze stracona!—

Tego wieczora, więcéj niż kiedy, rozwinęła kasztelanowa swój systemat gnębienia biednéj wnuczki; wzrok jéj ustawnie padał na nią, ale cięższy, ale ziadliwszy, i przerażone dziécię drżało, jak listek.— Bo téż nigdy Amelka piękniejszą nie była, jak tego wieczora, kiedy zbyt nieprzezorna babunia, niespodziéwając się znaleźć tyle światowego poloru w wiejskim paniczu, użyła wszystkich skarbów toalety, dla podniesienia wdzięków wnuczki. Cóżby niedała teraz, aby zniszczyć te sidła, w które miał wpaść Lubomir! ileż w duszy nie wyzionęła przekleństw na ten kwiat róży, z takim wdziękiem wplątany w czarny włos Amelii, na te gazy, blondyny, które na kształt lekkich obłoczków owiéwały jéj kibić. Błąd nieprzebaczony!— Nowe to bożyszcze, już ściąga oczy czcicielów, kiedyś może zaćmić piękności wszystkich salonów, być wyrocznią mody, rządzić zdaniami, gustem, i sercami jak piłką przerzucać!— Kasztelanowa przysięgła sobie strącić ją z tego nieba, na ziemię.

VII.

Lubomir Modnicki został codziennym gościem w domu kasztelanowéj, lecz o małżeństwie nikt ani spominał; z początku dziwiło to Amelię, później zaczęło smucić. Zbyt lękliwa, aby babkę zapytać o przyczynę tego milczenia, została przy swojéj niepewności, i z każdym dniem co raz więcéj cierpiała.

—Biedna, oszukana Amelio!... Któż ci miał mówić o tém, o czém kasztelanowa przestała już myśleć, a o czém Lubomir nigdy nie myślał?— Kto ci miał mówić o rzeczy tajnéj przed wszystkimi, i obcéj całemu światu?

I łzami zachodziły jéj oczy, ilekroć spostrzegła, że Lubomir na niéj spojrzenie zatrzymymał, aby się jak do dziecka uśmiechnąć, lub pożartować jak z dzieckiem.

Niestety! dziécię zaczęło czuć dojrzewającą w sobie kobiétę, serce biło mocniéj, nieznane dotąd rodziły się uczucia, wnikała we wszystko, pojmowała, i zaczęła cierpiéć dolegliwszém cierpieniém, niż odpychająca oziębłość babki zadać jéj mogła.

»Rzecz niesłychana!..." rozmyślała nieraz Amelka"— Lubomir zajmuje się tylko babunią, ją tylko bawi, nadskakuje, uprzedza!— Jest to zapewne wina owego pana stryjaszka, musiał chłopcu nagadać, że starający się o pannę, tylko z rodzicami powinien rozmowę prowadzić, i aż do dnia ślubu od narzeczonéj stronić. Potrzeba przyznać, mówiła Amelia z westchnieniem— »że Lubomir choć taki młody, przecież za nadto starych wyobrażeń się trzyma!"—

I w rzeczy saméj, Lubomir jedynie kasztelanową się zajmował, a na nią ledwie tyle zwykł patrzeć, ile mógł sobie powiedzieć: »kiedyś będzie piękna..." i wnet zwrócił się, zatopił, przelał się cały w tę drugą kobiétę, która jeszcze była pięknością, a co więcéj, pięknością modną. *Moda*!... oto ów czarodziejski wyraz Lubomira. Oto jego najwyższe pojęcie, w którém wszystkie pragnienia swoje zasadził; myślałbyś, że czarodziejka ta opisała go kołem swojém, którego ani myślą, ani sercem nie mógł przekroczyć.

Z resztą pokazało się, że Lubomir nie ze wszystkiem był wolny od parafijańszczyzny; — obawa uchodzić za hreczko-sieja w stolicy,

dręczyła go jak robak sumienia.— Jak drugi Achilles w wodach Styxu, i on był skąpany w powietrzu stolicy i wielkiego świata. Jedno miejsce tylko podlegało ranie. Baczne jego oko dostrzegło, że w Warszawie modnym kobiétom, które młodość swoję przeżyły, daleko więcéj hołdowało czcicieli, niż tym, których kwiat się rozwijał—; dla tego téż nie długo się wahał między Amelką a Kasztelanową, między lilija polną, a kwiatem ze sklepu modniarki; tamta zdałaby mu się do wiejskiego wianka, a tą próżność swoję ozdobił.

Tak więc spaczone to pojęcie Lubomira, tém lepiéj dopomogło zamiarom kasztelanowéj.

Kiedy jesteśmy w pełni naszéj młodości, nieumiémy się poznać na owych złudnych zapałach duszy, na sentymentalném zalotnictwie, i wyrachowaniu uniesień; niewinna téż Amelka przyczynę obojętności Lubomira upatrywała w sobie saméj, oskarzała się, potępiała, brzydziła się sobą:

»Zapewne widzi we mnie istotę dziecinną, ograniczoną! Bo czy może się domyślać, że pod uciskającą mię trwogą promieni dusza i serce bije gorące!... Och, gdybym się odważyła! gdybym się odważyła!... przymilić się mu, ująć go, możeby zaczął mię kochać!"—

I codzień odważała się przymilić, ująć Lubomira— ale zawsze podejrzliwe przeczucie kasztelanowéj odgadywało tę chwilę, w któréj Amelia powiedziała sobie: »Dziś chcę się mu podobać."— i nim zdołała jeszcze oko podnieść, nim słowo do ust dobiegło, wtedy jak piorun uderzył na nią rozkaz surowy, lub zimna ironija— i oko dziéwczyny spadało w dół obłąkane, i usta lękliwą szeptały wymówkę!—

Otóż kiedy Amelia wszystkie uczucia swoje, i każde wzruszenie odnosi do Lubomira, tak w chwilach nadziei, jak w upadku odwagi; kiedy z każdym dniem pozwala brać górę téj potężnéj namiętności, on, porwany wirem światowym, omamiony jego blaskiem, sam nie wiedział, co się z nim dzieje. Kto wié— na dnie jego myśli, może tam była kropla żalu dla téj biédnéj dziéwczyny, tak pięknéj, tak czystéj, w któréj miłości byłby znalazł to szczęście, jakiemu się wymykał.... Lecz kasztelanowa broniła mu zajrzéć we własne tajniki, a podsycając próżność młodzieńca, chciała go i téj reszty dobrego serca pozbawić.

VIII.

Przez ciąg trzech-miesięczny żadna nie zaszła w tym obrazie odmiana. Zdawało się, że salonowy ten dramat nigdy nie będzie miał końca; już i ta część widzów, co trochę zwietrzyła tę matanię, nudziła się powolnością działania. Ale kasztelanowa miała zamiar na pewne uderzyć, nie zaś przedwcześnie używać zwycięztwa.

Z końcem tych trzech miesięcy, dwa świeże zdarzenia zmieniły cokolwiek postać salonu kasztelanowéj. Stara jéj ciotka umarła— na starość— i stryj Lubomira przyjechał z Polésia.

Na widok szambelana Modnickiego łatwo było pojąć, jakim sposobem wychowaniec jego uchronił się parafijaństwa, gdyż szambelan, mimo że od lat kilkunastu niewidział stolicy, wszelako w najczytszém podaniu przechował obyczaje i polor dworu.

Szambelan Modnicki, wytwornością salonowych manier, a może i małością duszy swojéj, był wiernėm zwierciadłem Lubomira, które tylko starzéj pokazywało; i w charakterze jego można poznać było te same rysy, tylko że powiększone latami. Serce jego, kiedyś może świeże, zużywało się w otarciu światowém.

Dla Amelki wszystko to było ciemne, niezrozumiałe. Cóż ją mógł obchodzić charakter stryja Lubomira?— Dość że przybył— i od téj chwili zaczęła sobie tłumaczyć wszystko, co dotąd niepojmowała.— Opóźnienie ślubu— pochodziło z nieobecności stryja. W milczeniu Lubomira, widziała przyzwoitość postępowania z tak młodą, jak ona osobą.— A zresztą, czyliż każdego poranku nieodprawują się długie narady między babunią a szambelanem? Czyliż nakoniec sam stryj Lubomira nieokazuje jéj owych ujmujących względów, jak dla przyszłéj siostrzenicy?

Każdéj więc chwili spodziéwała się Amelka, że tak powiem: *urzędowego ogłoszenia.* Jakżeż serce jéj biło, jak się oddech w piersi zatrzymał, kiedy pewnego poranku Zofia weszła do jéj pokoju z wezwaniem do babuni.

—»Już wiém po co! już wiém! o mój Boże!«—

I nogi pod nią drżały, kiedy schodziła ze wschodów.

Wszedłszy do sypialnego pokoju kasztelanowéj, padła prawie na krzesło, głowa się jéj kręciła, odbiegły siły.— Szybkiém spójrzeniem zapytała twarzy swéj babki, lecz nic wyczytać nie mogła, bo kasztelanowa z najzimniejszą spokojnością liczyła kratki na kanwie swego dywanu.

...»Trzy .. cztéry... Amelko! poszukaj mi różowéj włóczki— pięć... no i cóż?... Sześć... siedem...«

Amelka przerzuciła, poplątała wszystkie moteczki i nie mogła znaleźć różowéj.

.. »Ośm ... Wolę sama poszukać; jesteś do niczego!—«

Potém długie nastało milczenie,— kasztelanowa dobiérała barw swoim kwiatkom, Amelka bladła i drżała.

—»Jakżeż moje dziécię!--« rzekła nakoniec babka tonem obojętnym— jakżeż ci się podobał pan Modnicki? Czas już, ażeby to wszystko skończyć.— Cóż to, nic mi nieodpowiadasz Amelko? Jakżeż ci się twój przyszły podobał? nie prawdaż, że człowiek przyzwoity?«

—»Prawda mamo—« odrzekła Amelka po cichu. A jagody jéj oblał żywy rumieniec.

—»Zdaje mi się, moje dziécię, żeś się już wyléczyła z owéj obawy, jaką miałaś przed twoim narzeczonym?«

—»O już mamo—« odrzekła jeszcze ciszéj— i rumieniec wystąpił na niéj, jak na brzoskwini.«

—»Pewna byłam, że ci się podoba. Powierzchowność jego niema nic odrażającego; w obchodzeniu się tak jest uprzejmy— elegancki, ma rozum... o! rozum u mnie nad wszystko«—

—»Ale... dla czego tak mało ze mną mówi?«

—»Tak mało! przeciwnie, sądziłabym, iż się tyle, a nawet i więcéj tobą zajmuje, niż zwyczaj przyjęty w świecie pozwala.«

Amelka słuchała zdziwiona.

—»Moje dziécię— jak widzę zaczynasz być wymagająca; z tém wszystkiém trzeba ci być wyrozumiałą, trudno aby pan Modnicki pałał dla ciebie romansową miłością— jest to cokolwiek marcowy kawaler.«

Jakaś myśl mrozem przejęła ją od głowy do serca, ale to krótko trwało.— Nie— nie, to być nie może, pomyślała.

—»A zatém mogę panu Modnickiemu oświadczyć, iż się nieboisz jego siwych włosów.«

—»Siwych włosów!... alboż Lubomir ma siwe włosy?—«

Śmiech serdeczny rozległ się po całym pokoju.

—»Któż tu dziécię moje mówi o Lubomirze? czy ci się zdaje, że gramy w ślepą babkę?—« mówiła kasztelanowa, niewstrzymując się od śmiéchu.

Amelia topiła się we łzach, i twarz zakrywała rękoma.

—»Ach mamo, mamo, dla czegóż wprowadziłaś mię w ten błąd okropny! dla czego kazałaś mi wierzyć...!?«

—»Wierzyć— w co? Dziéwczyno, odchodzisz od rozumu. Powiedz— powiedz, wymieniłażem kiedy imię Lubomira? A wreszcie przeznaczając ci go za męża, czyż nie byłabym z tobą mówiła o nim, przez czas jak tu bawi? Mojaż to wina, żeś sobie uroiła w głowie: że ktoś szalony będzie takie jak ty dziecko, wydawać za drugie dziecko, jak Lubomir? W małżeńskiém stadle potrzeba, aby rozsądek był z jednéj, lub drugiéj strony. Ale dosyć już— nie mówmy o tém *quiproquo*. Próżne to szlochy— tak słuszna panna i płacze, cóż narzeczony pomyśli?—«

—»Zlituj się— zlituj, mamo!«

Amelia na klęczkach ciągle powtarzała: »Zlituj się! zlituj!—« lecz kasztelanowa wyszła z pokoju; i tylko na chwilę obracając się we drzwiach, zawołała uroczystym głosem:

—»Zapomniałam ci jeszcze powiedzieć, że ślub odbędzie się piętnastego lipca.—«

A wtedy był ostatni czerwca!—

IX.

Pewnego wieczora Amelka sama siedziała w pokoju. Babka jéj z szambelanem wyszła na miasto po sprawunki wyprawne; a ona, biédna ofiara, upadająca pod ciężarem boleści, łzawém okiem, i ze wstrętem poglądała na ozdoby i stroje weselne.

Lubomir wszedł niespodzianie.

Nigdy jeszcze sam na sam nie byli ze sobą; Amelia pomieszana powstała z powitaniem, i znowu upadła na krzesło— i chciała się uśmiéchnąć— ale ten uśmiéch bolesny bardziéj był rozrzewniający, niż łzy najobfitsze.

—»Dla Boga! piękna stryjaneczko, skądże ta bladość na twarzy, »rzekł Lubomir okazując obawę— »Czy jesteś chora?—«

—»Chora? O nie, nic mi nie jest«— I Amelia rękę położyła na twarzy, zasłaniając łzy płynące strumieniem.

Lubomir z lekka rękę jéj odjął.

—»Co widzę!... jakieś zmartwienie!... Amelio! czy może niechcesz pójść za mąż? A przecież tak piękne czekają cię stroje, takie rozrywki— zabawy....«

I na głowę Amelii włożył ślubną zasłonę...

—»Zdejm ją— o zdejm ją! jakiż to ciężar, zdaje się, że wszystko na mnie się wali!...«

W oczach nieszczęśliwéj widać było prawie obłąkanie. Lubomir nic tego niewidział.

—»W rzeczy saméj— maleńka stryjaneczko, zbyt za prędko każą ci porzucać lalki, dla małżonka. Ale pamiętaj sobie Amelko, »dodał ze śmiéchem,« jak podrośniesz, przekonasz się, że nawet i małżonek jest lalką, którą można porzucić, jeżeli cię znudzi.«

Amelka niesłyszała co mówił. Jakiś pomysł z razu niepewny, daléj wyraźniejszy, a w końcu przemagający ogarnął jéj duszę.

—»I czemuż, i czemuż miałby mi odmówić? Wszakże może być moim wybawcą— i pewną jestem, że mię z tego nieszczęścia wybawi!—« Panie Lubomirze....« i ucięła, pomięszana tém, co miała powiedzieć. Ale w téj chwili zégar bił godzinę powrotu jéj babki, nie było czasu do stracenia. —»Och panie Lubomirze, zaklinam cię, przyrzecz mi, że będziesz miał litość nademną.«

Lubomir wpatrzył się w nią z podziwem i wzruszeniem. A możnaż było nie być wzruszonym na widok tych dziecięcych jeszcze rysów Amelii, w sporności z silnym wyrazem bolu i rozpaczy? na widok tych ust stworzonych tylko do uśmiéchu i śpiewu, a drgających konwulsyjném łkaniem?

—»Mów, mów Amelio! zaklinam cię, powiedz w czém pomódz mogę?«— Serce Lubomira ocknęło się.

—»Przeszkódź abym nieposzła za twego stryja! zlituj się nade mną!«—

—»Biedny mój stryjaszek!... Więc go niekochasz Amelio? Ależ niestety! co ja tu poradzić mogę? Potrzeba było wcześniéj powiedzieć, wszystko wyznać kasztelanowéj, ona tak dobra, tak czuła; ona by...«

—»Dobra! czuła!« powtórzyła Amelia z goryczą; »czuła!... a wola jéj jak żelazna obręcz ciśnie mi serce— a słabe ręce moje czyż się jéj oprzéć zdołają? ale ty, Lubomirze, ty przemówisz za mnie! ty obudzisz w niéj litość dla biédnéj siéroty, bo jeżeli ten związek ma przyjść do skutku... o nie, nie, onaby się wstydziła przed tobą, zabijać mię!«—

Łzy Amelii strumieniem się lały, ocierała je co chwila, aby przymgloném okiém pytać spojrzeń Lubomira.

—»I z nim, i z nim pamiętaj mówić, powiédz mu, że go nie kocham, że go nigdy kochać nie będę, że kocham innego...«

Lubomir poglądał na nią w milczeniu; równie swemi myślami zajęty, jak słowami Amelii. Wtopił w nią oko ciekawe, zdziwione— jakby jéj nigdy niewidział; nowe to wrażenie miało szczególny pociąg dla niego: w duszy dziewicy ujrzał świat inny, pełniejszy, niż ten, co sobie wyobrażał.

—»Przeklęte przeznaczenie! kto wié; szczęście może mię tu czekało« — pomyślał z westchnieniem— »a teraz...«

—»Och widzę! widzę, jak będziesz błagał jéj za mną. Kochać cię będę, jak... ale cóż tobie po mojéj miłości?!—« dodała z żalem.

—»Co mi po twéj miłości Amelio?!« Pochwycił z zapałem, i uczuł nagle swoję dwudziestoletnią duszę skrzepłą, martwą aż do téj chwili, jak się ocknęła, jak zaczęła promienić, i czuć!

Lecz niestety!.... galwaniczne to było wstrząśnienie.

Dusza— trup znowu upadła— kasztelanowa weszła do pokoju.

X.

Czynnie krzątano się około wesela;— Amelia jednak nie traciła nadziei: Lubomir przyrzekł mię bronić: przynajmniéj wzrok jego to mówił; Lubomir pewnie mię obroni!

I pełna ufności, niezwracała uwagi na nic, co się koło niéj działo. W przypomnieniu swojém słyszała Lubomira, jak jéj napomknął coś niby o miłości, i ciągle dziewicze myśli posyłała w to niebo, które sama sobie stworzyła. Wprawdzie mgły gęste zaciemniały ten widokrąg; ale mgły poranku zwykle są lekkie i prędko się rozchodzą!

O nieznająca świata Amelio! gdybyś go przynajmniéj przeczuciem odgadła, nie byłabyś tyle wierzyła nadziei! Lecz ona niewiedziała o niczém— nawet i o tém, że nigdy kobiéta w dojrzałym wieku niema litości nad młodą rywalką, że najczęściéj mężczyzna lepiéj kocha samego siebie, niż swoję miłość!

Niespostrzegała téż, jak te dwa rodzaje próżności krążyły jak drapieżne ptaki nad przyszłém jéj szczęściem.

Kasztelanowa jednym oka rzutem odgadła odmianę w sercu Lubomira; widziała ona, jak serce jego ożywiało się, zakwitało w promieniach téj młodocianéj czystéj miłości, i na nowo zniszczyła w nim szlachetny płomień.

Dla światowego półgłówka, powodzenie w kochaniu nie jest powodzeniem, jeżeli o tém pół świata przynajmniéj nie wié, jeżeli w tysiącach niewzbudza zazdrości. Oczy jego mniéj padają na przedmiot ubóstwienia, a więcéj na widzów patrzących na jego tryumf. Uczynić to powodzenie wątpliwém dla Lubomira, a szczególniéj dla drugich, oto był niezawodny środek, użyty przez kasztelanowę do dopięcia zamiaru.— Potrzeba było, aby choć na jednę chwilę widział się zaniedbanym— a wtedy Amelia ustąpić musi z serca, dla próżności. Nigdy téż kasztelanowa, nawet w najświetniejszych chwilach świetnéj swojéj młodości, nieotoczyła się liczniejszą zgrają hołdowników, jak teraz; nigdy nie uśmiechała się do nich z powabniejszym urokiem, jak teraz. Każdy téż zagadywał siebie:

—Czy Lubomir zostanie kochankiem kasztelanowéj, lub nie? I Lubomir spostrzegł jak wahały się zdania; a uniesiony żądzą tryumfu, wzgardził wszystkiém, co miał dobrego w sobie, i krzyk próżności zagłuszył w nim głos serca.

Czy mu się powiodło? niewiém.— Ale tryumf jego stał się głośnym.— Młode kobiety umieją ukrywać związki swoje przed światem, a te co zeszły już z pola, lubią szczycić się niémi. Kochanek jest częścią ich toalety.

XI.

Wszystko skończyło się dla Amelii. Jakiego doświadczyła uczucia przekonawszy się o zawiedzionéj nadziei? Tego nikt niewié, bo i słówko skargi z ust jéj niewyszło. Tylko w dniu ślubnéj intercyzy róże na jéj głowie zdawały się jakby upięte na marmurowym posągu, taka bladość powlokła jéj lice.

—»Dziecinne grymasy!« rzekła kasztelanowa z uśmiechem, trącając ją z lekka wachlarzem po licu.

—»Dziecinne grymasy! rzekł także stary szambelan do grona otaczających go mężczyzn.

On przynajmniéj mówił to w dobréj wierze. Do całego zdarzenia nieprzywiązując wielkiéj wagi, z miłości własnéj zastąpił miejsce swego siostrzeńca; bo był przekonany, że na niedołęztwu starości, i nudy wiejskie, żona bywa lékarstwem. Pojąć więc Amelkę było dla niego jedno, co odnowić meble w salonach, lub jaki kwiat do oranżeryi sprowadzić.

Lubomir milczał na to wszystko.

XII.

Nadszedł poranek ślubu.

—»Osobliwa rzecz!«— myślała Zofia ubierając Amelię,—»niewidziałam panny młodéj, któraby mniéj dbała o swoję toaletę. Można nią jak chcesz obracać, co chcesz z nią robić, na wszystko nieczuła, jak drewniana lalka. A oczy jéj! niby przymglone, niby obłąkane!— Niech pani kasztelanowa swoje mówi: że to nic nieszkodzi, ale ja myślę, że tu się coś niedobrego święci.«—

Gwałtowna zmiana w twarzy Amelii, nieuszła uwagi osób najobojętniejszych; ale kasztelanowa tak wszystkich umiała upewnić, uspokoić, że nikt nielitował się nad biédną.

Grono weselne przybyło do kościoła, a kiedy kapłan zapytał stojącą u ołtarza, czy dobrowolnie oddaje rękę panu Modnickiemu? głowa jéj dotąd ciągle spuszczona na piersi, podniosła się nagłym, konwulsyjnym rzutem:

—»Któremu?« zapytała Amelia— i śmiech przeraźliwy przerwał obrzadek ślubu.

Amelia dostała pomieszania zmysłów. *Lucyjan S.*

Wiadomości literackie: Wianek. Noworocznik na r. 1837, zebrany i ułożony przez Karola Korwella, zawierający oryginalne utwory prozy i poezyi. Z rycinami i muzyką, wydany w Warszawie nakładem Józefa Kaczanowskiego. Wydanie ozdobne, równające się zagranicznym noworocznikom. W prozie występują pp. Wanda Malecka, Fryderyk hr. Skarbek, Kaź. Wład. Wojcicki, Karol Korwell; w poezyi: A. J. Szabrański (którego prozą także jest powieść Ecyn Gieraj); Stanisław z Dzikowa (Jachowicz) znany z miłych Bajek swoich i t. p. Szczególnie zajęły nas dwie pieśni serbskie, z podpisem A. B.: Marko i Luty-Bogdan, i Śmierć Smaił—beja Begzadytia. W powieści Wojcickiego: Wysoki zamek, rzecz dzieje się we Lwowie i autor opisuje powietrze, przypadające tamże

r. 1594, tudzież śmierć braci Białoskurskich, synów burgrabiego zamku, schwytanych i ukaranych za rozmaite bezprawia.

Leszno, (w Wielkiém Księztwie Poznańskiém), małe miasto w porównaniu z innemi polskiemi, celnje w czasowem piśmiennictwie polskiém. Oprócz Przyjaciela ludu, będącego bezsprzecznie ozdobą naszej peryodycznéj literatury, którego redaktorem p. Ciechański; oprócz Przewodnika rolniczo-przemysłowego, wychodzi tam także: Szkółka niedzielna, co tydzień pół-arkusza, pisemko nader użyteczne dla ludu, układane w prostym dla każdego pojęcia dostępnym stylu, pod redakcyją X. T. Borowicza. Pisemko to dla większego upowszechnienia się po między klasą uboższą, jest niezmiernie tanie, kosztuje bowiem rocznie tylko 4 Złp. (1 Złr. m. k.) Nakładnikiem tych wszystkich trojga pism jest Ernest Günther, księgarz i drukarz Leszneński, również rzadkie w bibliografii polskiéj zjawisko.

W jednym z ostatnich numerów pisma naszego spomnieliśmy o śmierci znakomitego poety rossyjskiego, Alexandra Puszkina. Tenże, jak dzienniki francuzkie donoszą, zginał w pojedynku ze szwagrem swoim, p. D'Antbes, oficerem francuzkim w służbie rossyjskiéj. Dostawszy kulą strzał w piersi, żył tylko dwa dni po pojedynku. Cesarz Mikołaj rozkazał pomienionego oficera francuzkiego stawić pod sąd wojenny, a małżonce zmarłego poety, w nagrodę zasług jego około literatury narodowéj położonych, znaczną pensyję dożywotnią wyznaczył. Słychać, że Puszkin zajmował się w ostatnich latach swojego życia dziejami Piotra wielkiego, lecz śmierć zawczesna przerwała wypracowanie tego dzieła.

Dziennik wychodzący w Paryżu, mający tytuł *Kronika*, pod d. 26. z. m. umieścił artykuł, w którym obszernie jest opisany teatr warszawski. Autor zwiedził wiele stolic Europy, lecz teatrowi warszawskiemu wielkie jednak pochwały oddaje. Wymienia obszernie zalety wzorowego talentu JPanny *Leontyny Żuczkowskiéj* (dziś JP. *Halpert*), zastanawiając się szczegółowo nad jéj zdolnościami scenicznemi, nadającemi prawo mieszczenia ją w rzędzie najpierwszych artystek. (K. W.)

Jednym z najznakomitszych żyjących dramatyków niemieckich jest Fryderyk Halm. Jego poemat dramatyczny *Griseldis*, zwrócił uwagę wszystkich znawców pięknéj poezyi, prawdziwéj poezyi serca. Drugie jego dzieło dramatyczne *Camoens* miało być w połowie b. m. marca dane na nadwornym teatrze wiedeńskim.

W Wiedniu wyszła nie dawno książeczka pod tytułem: *Das kalte Wasser* (Woda zimna), wystawiona jako szczególny i doświadczony środek do utrzymania zdrowia i wyleczenia się z różnych chorób. Pisemko to wymienia skutki zimnéj wody na ciało ludzkie, bądź jako napój, bądź jako mycie się lub kąpiel. Bezimienny autor doświadczywszy sam na sobie zbawiennych skutków léczenia się wodą, podaje takowe jako przyjaciel ludzkości do wiadomości powszechnéj, zachęcając do użytkowania z tego dobroczynnego środka natury.

Wielbłąd Władysława Jagiełły w Pilznie (w Czechach.) Podczas zaciętych walk hussyckich w Czechach, wybuchła wojna między królem polskim Władysławem Jagiełłą, a krzyżakami, w któréj naczelnik oddziału Hussytów czeskich Czapek, w 8,000 ludzi królowi polskiemu w pomoc przybył. Czechowie przeciągali zwycięzko kraje pomorskie, a zagony swoje aż po Gdańsk zapuściwszy, spalili, według ówczasowego zwyczaju, nie daleko z tamtąd położony klasztor Oliwski. Dostawszy się tym sposobem raz pierwszy na brzegi morza Baltyckiego, kilka beczek napełnili wodą morską, dla przywiezienia takowéj ziomkom swoim na pamiątkę dalekich wypraw zwycięzkich. Król Władysław wdzięczny za daną mu pomoc, hojnie obdarował Czapka i jego wojowników i dał im między innemi dużego wielbłąda, będącego wtedy największą osobliwością, a który beczki z wodą morską niósł na grzbiecie swoim do Czech. Zwierzę to odtąd szło wszędzie za Hussytami i towarzyszyło im także przy oblężeniu bohatérskiego Pilzna, na które oni z największą zaciętością uderzali, ponieważ to miasto wiernem pozostawszy cesarzowi Zygmuntowi, dotąd od Hussytów zdobytém nie było. Mimo wszelkich usiłowań Hussyci i tą razą Pilzna w moc swoję dostać nie mogli. Dziewięć tygodni upłynęło, a waleczność Pilzneńczyków niweczyła wszelką nadzieję oblęgających zdobycia upornego miasta. Prokop wielki, naczelny wódz Hussytów, widział się przeto zmuszonym oblężenie zamienić w blokadę i miasto tym sposobem głodem do poddania się zmusić. Dla dostania żywności zrobili Pilzneńczykowie dnia jednego powszechną wycieczkę, w któréj Hussytów ze znaczną klęską odparli. Wtedy wielbłąd króla Władysława dostał się także w moc ich i na znak szczególniejszego zwycięztwa, śród radości i przy odgłosie muzyki, wprowadzono go do miasta. Mieszczanie Pilzna uprosili oraz cesarza Zygmunta, by wizerunek wielbłąda mogli w herbie miasta umieścić, gdzie dziś jeszcze widzieć go można.

Osobliwy pojedynek wydarzył się w Bruxelli. Dwaj przeciwnicy, niegdyś najszczérsi przyjaciele, wyzwawszy się nie mieli ani pistoletów, ani żadnéj innéj broni, nie byli także w stanie kupić jéj sobie, ale uzbroili się brzytwami, którémi zamiar pojedynku można było również osiągnąć, ile-że jeden tylko miał zginąć, drugi zaś zostać przy życiu. Ciągniono więc losy, kto komu ma życie odebrać, a ten, któremu los szczęśliwy wypadnie, miał przeciwnikowi gardło poderznąć. Lecz gdy szczęśliwy w losowaniu ujrzał przeciwnika swojego, jak ten obnażoną szyję pod ostrze brzytwy nadstawiając, bez sprzeczki na los, który wyciągnął, przystawił, narzędzie śmierci wypada z rąk jego, zalał się łzami i rzucił się w objęcie swojego przeciwnika, który się także z rozczulenia rozpłakał. Nastąpiło pojednanie, i miejsce nowéj nienawiści dawna tkliwa przyjaźń zajęła.

Nadzwyczajny przypadek jest teraz przedmiotem powszechnéj rozmowy w *Lorient* (we Francyi). W czasie balu nagle uczuła jedna z walcujących panienek, że ręka jéj tancerza lodowacieje. Ogląda się na niego, aż tu widzi bladość śmiertelną, wzrok osłupiały, rysy twarzy okropnie zmienione; pada zemdlona, a z drugiéj strony upada i tancerz. Spieszą na pomoc, dama wkrótce się ocuciła, lecz jéj kawaler już był nieżywy. Pokazało się, że dama przez kilka minut walcowała z trupem.

Anegdota z tegorocznego karnawału w Paryżu: Pewien małżonek zabronił żonie swojéj być na balu maskowym w gmachu opery. Mimo tego znikła gdzieś żona o północy, a mąż spostrzegłszy jéj nieobecność, domyślił się, że na bal maskowy poszła. Jakże ją tu znaleźć w tém mnóstwie masek? Wpada na myśl taką: miał wiernego psa, tego bierze pod płaszcz i także na bal z nim idzie. Wszedłszy na salę, nieznacznie wypuszcza psa z pod płaszcza i rzecze doń: »Szukaj!" Pies wietrzył po całym domu opery, pobiegł aż na galeryję, a tuż za nim pan jego, nareszcie zaczął dobywać się do drzwi pewnéj loży. Mąż otwiera lożę i kochaną żonę z przyjacielem domu zastaje.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. *Druk Piotra Pillera, we Lwowie.*